

PAN WOŁODYJOWSKI

Streszczenie zakończenia: Potężna armia turecka obległa miasto i twierdzę Kamieniec. Polacy postanowili ją bronić, a wojska tureckie przystąpiły do regularnego oblężenia. W twierdzy znaleźli się Wołodyjowski z Basią, Zagłoba, Ketling, chory Nowowiejski, Muszalski i inni znamienicy rycerze. Komenda obrony twierdzy należała do pana Mikołaja Potockiego, lecz ten zrzekł się jej, mimo protestu Wołodyjowskiego, na rzecz rady wojennej, do której powołano, między innymi, Wołodyjowskiego i Ketlinga, obok biskupa Lanckorońskiego, pisarza podolskiego Rzewuskiego, pana chorążego Humieckiego. Zadaniem rady była obrona twierdzy.

Rozpoczęły się szturm tureckie, które były odpierane, „wycieczki” żołnierzy polskich z twierdzy na oddziały tureckie, popisy harcówników obu wrogich wojsk. W walkach tych odznaczał się nadzwyczajnie pan Wołodyjowski i wzbudzał podziw i strach u Turków. Zarówno Potocki, jak i biskup z rady wojennej, nie mieli wiary w zwycięstwo i potajemnie, bez wiedzy innych członków rady, wysłali posłów do sułtana z prośbą o zawieszenie broni. Oburzyło to Wołodyjowskiego, jak i innych oficerów.

Oblężeni musieli w końcu opuścić nowy zamek twierdzy i przenieść się do starego zamku.

„Wycieczki” na stronę turecką powodowały wiele strat wśród oblegających. Zarówno Ketling, jak i Wołodyjowski, spodziewali się, że po tak bohater-
skiej obronie, Turcy niedługo odstąpią od oblężenia.

I właśnie wtedy poraziła ich wiadomość o poddaniu twierdzy. Wówczas to Ketling, który ślubował w kościele wraz z Wołodyjowskim, że się nie poddadzą, zszedł do lochów, podpalił prochy i wysadził twierdzę. W ten sposób obaj zginęli.

Pan Wołodyjowski został w trumnie przewieziony do Stanisławowa i tam pochowany.

W rok po tych wydarzeniach hetman Jan Sobieski odniósł w listopadzie 1673 roku wspaniałe zwycięstwo nad Turkami pod Chocimem.

Burza szybko przeszła nad dworem, jak to zwykle z letnimi burzami bywa. Najpierw zwiastowało ją nagłe ściemnienie nieba, szybkie błyski i grzmoty, a potem ogromne potoki wody spadły na ziemię. Mogłoby się zdawać, że to niezliczone zastępy aniołów niebiańskich, ogromnymi stągwiami leją wodę. Oj, byłaby potrzebna ta woda i ziemi i roślinom i wszelkiemu żyjącemu stworzeniu. Od trzech tygodni, ani kropla deszczu nie spadła z bezchmurnego nieba. wędnie słońce prażyło niemiłosiernie, ziemia stała się twarda i popękana, trawy pożółkły, gdzieś tam wysychały strumyki, a nawet zaczynało brakować w studniach wody.

Teraz po burzy, zachodzące słońce znowu rozbłysło, ptastwo zaczęło swoje rozliczne, radosne śpiewy, jakby dziękując swemu stwórcy za dar wody. Olbrzymie drzewa, zarośla, kwiaty i trawy błyszcząły milionami brylantowych odblasków. białe obłoczki, niczym stado baranków przesuwają się po niebiańskiej połoninie.

Na wszystkie te cuda natury spoglądał z otwartego okna pan Andrzej Kmicic i radował się, bo wiedział, że żyć teraz łatwiej będzie i ludziom i bydłom, mającym bez zbytej nitręgi skąd czerpać wodę.

Radowała go i ta ptasia kapela rozgłośnie śpiewająca w konarach drzew i żółto kwitnąca dziewanna rosnąca koło drogi i ta różnobarwna tęcza, która ukazała się na wschodniej stronie nieba, tworząc ogromny łuk nad widnokrzem, obejmując i wzgórza i lasy, pola i drogę prowadzącą do dworu.

Skrzypnęły drzwi i oczom pana Andrzeja ukazała się teraz postać małżonki jego, Oleńki z Billewiczów. Lecz nie była ona sama, bo towarzyszyło jej dwoje dzieci bliźniaków: chłopczyk i dziewczynka.

Chłopczyk otrzymał na chrzcie świętym imię Herakliusza, na pamiątkę dziada, a dziewczynka Anny, bo i przyszła na świat w dzień tej świętej 26 lipca.

Dzieci zbiegły się do największej kałuży i nuże puszczają po niej małe okręciki złożone przez panią matkę przy gorejących poświęcanych gromnicach, w czasie, kiedy jeszcze burza trwała.

Pan Andrzej patrzył się na to wszystko, uśmiechał i podkręcał płowego wąsa. Przypomniały mu się młode lata, kiedy to sam pacholęciem jeszcze będąc, puszczają po burzy słomki w rynsztoku i bacznie patrzył, która to słomka pierwsza nad innymi górę weźmie.

Nagle, przy wjeździe do alei, prowadzącej do dworu ukazała się karetka. Pani Oleńka zbliżyła się do dzieci i też patrzyła ciekawie, kogo to niebiosy zsyłają i jakby chcąc odgadnąć przybywających gości: obcy to, czyli też swoi?

Kareta zbliżyła się na tyle, że już można było rozpoznać machającego ręką pana Zagłobę i pana Skrzetuskiego.

Jakoż i pan Kmicic wyszedł pędem powitać przybyłych rycerzy.

- Gość w dom, Bóg w dom! - zawołała pani Kmicicowa, a pan Andrzej dodał - Witajcie waćpanowie, w naszych skromnych progach!

Pan Zagłoba wydobył z karety swoje potężne ciało, przy czym i pan Skrzetuski uczestniczył, podtrzymując starca, a ten ozwał się, stanawszy już pewnie na ziemi: - Witajcie waćpaństwo! Dziękujemy za piękne powitanie, ale, co do gościa przybyłego w dom, to prawią, że gość w dom, gorszy od Tatarzyna! - i tu pan Zagłoba uśmiechnął się szeroko, po czym wskazując na dwie złotopłowe główki Ani i Herakliusza schylone nad pływającymi okręcikami, dodał: - Sursum corda! Serce rośnie!

Weszli teraz wszyscy czworo do dworu, a pani Olenka, po drodze zadysponowała sługom przygotowanie wieczerzy, a póki co, jeden ze sług poszedł do loszku po węgrzyna.

- Siadajcie, proszę, waszmościowie i nie będziemy ukrywali, że wieści chcielibyśmy od was usłyszeć, bo ze świata przybywacie - powiedział pan Kmicic - kiedy tu, w takich okropnych terminach znalazła się Rzeczpospolita i różnie różni prawią.

- Wiemy już to na pewno - odezwała się pani Kmicicowa, patrząc na Skrzetuskiego - że Kamieniec zdobyty i Turkom przypadł, ale jak tam było naprawdę, gadajcie waszmościowie!

Omszały gąsior pojawił się na stole. Złotawy trunek wypełnił szklenice. Goście pociągnęli po dobrym łyku i pan Skrzetuski ozwał się w te słowa:

- Najlepiej waćpaństwu pan Zagłoba zda relację, bo on tam był i w wieści zasobny!

Pan Zagłoba obtarł wasy wierzchem dłoni i zagał:

- Kamieniec zdobyty i bisurmanin Podole trzyma, ale tak nie musiało być! Oj, ciężkieśmy chwile przeżyli w kamienieckiej twierdzy, bo cała potęga sułtańska nas opadła, ale na Boga mężnieśmy stawali, nie byle jacy rycerze na wałach odpór dawali i „wycieczki” radzi na pogany wyprawiali! A ile było szturmów barbarii i wszystkośmy odparli! Rycerstwo nasze było niepokonane i mężnie stawało! Taki pan Wąsowicz, pan Humiecki, Kwasibrodzki, Bukar! Przecie nie otroki to, a wytrawni rycerze!

Ketling tam był i Wołodyjowski, pan Bogusz i pan Muszalski! - tu pan Zagłoba popatrzył na zasłuchanych i wpatrzonych w niego gospodarzy, pociągnął węgrzyna i prawił dalej: - Rycerstwo bez zarzutu, ale dowództwo słabe! A kto był w dowództwie? Prócz znamienitych rycerzy, miernoty, jak Mikołaj Potocki, który komendy sprawować nie chciał i na radę wojenną zdał się. Nie miałci on wiary w zwycięstwo, nie miał ci jej też biskup

Lanckoroński! Za plecami pozostałej rady, pertraktowali z pogany o armistycjum na cztery tygodnie! Bardzo to poruszyło pana Wołodyjowskiego i Makowieckiego! Sami Turczynowie po tylu szturmach szemrać zaczęli i do następnych walk nie byli skłonni! I wtedy, kiedy nasze rycerstwo kolejny szturm odparło i wspaniałą wiktę odnieśli, to ci sami, co uprzednio paktować chcieli, tym razem zamek poganom poddali! Zasapał się pan Zagłoba, a że już służba półmiski i wazy z potrawami wnosić zaczynała ozwała się pani Oleńka: - Teraz waszmościowie posilcie się, czym chata bogata, bo zdrożeni jesteście, a potem chętnie dalszych wieści wysłuchamy!

Zapalono świece w lichtarzach, bo już ciemno się w komnacie robić zaczęło. Żółtawe światło świec oświetliło komnatę. Matowe błyski odbijało to światło od licznych obrazów w złożonych ramach, to od pejzaży niderlandzkich o chmurnym niebie, to od włoskich, na których niebo dla odmiany było nieczym czysty lapis-lazuli, od portretów i obrazów świętych.

Rzucały swoje błyski i meble cudzoziemskiej roboty i złotosrebrne nici ze wschodnich kobierców.

Posilali się teraz wszyscy, to wpieryw podanym chłodnikiem, potem pieczy-stym z warzywami, a następnie owocami, ciastami i nieodstępnym węgrzynem. I atmosfera jakoś złagodniała, gdy przestano mówić o wojnie.

Po posiłku pomilczeli chwilę, po czym ozwał się pan Kmicic:

- Panie Zagłobo! Różne wieści nas dochodziły, a teraz to aż strach zapytać! Wołodyjowski... czy żywie?

Smutno popatrzył pan Zagłoba w wyczekujące oczy pana Andrzeja, westchnął ciężko i odparł: - Żyje ci on, jeno Ketling pomarł, ale może lepiej byłoby dla niego gdyby nie żył!

← Jakże to tak? - zaniepokoiła się pani Oleńka.

- Już waćpani odpowiem! Cudem prawdziwym on się uchował, bo razem z Ketlingiem byli w lochu, kiedy Ketling prochy podpalał i wysadzał twierdzę i na zdrowy rozum żyw być nie powinien, kiedy inni dalej będący zginęli! A on się uchował! Palec Boży w tym był! Ale jako to już waćpaństwu powiadał, to życie jego teraz gorsze jest niżli śmierć!

- Co waćpan prawisz?! Dlaboga!!

Pan Zagłoba sapnął i ciągnął dalej: - Gdy twierdza poddana została, zostaliśmy wszyscy wydaleni przez Turków do Stanisławowa. Był ci z nami i pan Wołodyjowski z Basią. Tam przybywszy, mało co zabawił, bo trzeba mu było do hetmana jechać. To i pojechał, a Baśka została.

Diabli nadali, że w tym czasie znajdowała się w Stanisławowie trupa krotchwilników, aktorami zwana, przeważnie z Francuzów złożona.

Był ci tam jeden Francuz, który pięknie na lutni grał, śpiewał i w sztukach pokazywał. Były to sztuki Rasyna, Mcliera i innych pismaków, których

nazwisk już nie pomnę, mimo że sam z braku zajęcia na nie chodził. Francuz, owszem, gładyz był nad gładyze. Wzrostu wysokiego, z cudzoziemska odzian, włosów czarnych i - nie powiem - zgrabny szelma! Ten ci Francuz Basię Wołodyjowską sobie upodobał, która na teatrum w pierwszym rzędzie siadywała. I na teatrum się nie kończyło, bo bywał u niej, z początku nieśmiało, a potem z kurażem większym. Kwiaty przynosił, na przechadzki z Basią chodził... A ile się rękami namachał niczym wiatrak niderlandzki, a oczyma przewracał, a klękał i po rękach całował, a swoje ręce ino do serca przykładał... I najwięcej to mówił: żetem! żetem!, chocia i po naszymu trochę umiał. Tak Francuz wyżetemował, że po pewnej nocy, po trupie hultajów ani śladu, a Baśka z nimi...

- Z nimi!! - krzyknęła ze zgrozą pani Kmicicowa - przecie to męzatka!!

- Męzatka!! - wysyczał pan Zagłoba - ale bies podkusił i gach okazał się lepszy od męża! I wierz tu białogłowie, choćby własnej żonie!!

Po tych słowach stary szlachcic zwrócił się w stronę pani Olenki i dodał:

- Z przeproszeniem waćpani!

- I co potem?! I co?! - zapytał pan Andrzej.

- Ano - ciągnął Zagłoba - przyjechał pan Michał i w domu zamiast żony list zastał. Dużo tej epistoły tam nie było, ale takie verba, że tak być musi, żeby wybaczył, że serce nie sługa!! Imainujecie sobie waćpaństwo! Serce nie sługa!! Takie słowa do własnego męża pisać! I to do jakiego męża! Najlepszego człeka na świecie! przecież ten Wołodyjowski to puklerz Rzeczypospolitej, gloria pierwszego rycerstwa i taki despekt go spotkał...

- Aż straszno pytać, co z nim... - urwała pani Kmicicowa.

- Wsiadł na koń i za aktorami podążył. Spotkał ich w Przemyślu, ale Baśki, ani Francuza z nimi nie było, ani od kogo o nich języka dostać i wrócił Michał do Stanisławowa, a na drugi dzień zniknął i on zupełnie... Dopiero pan Skrzetuski...

- Jakże to było? - niecierpliwiła się pani Kmicicowa.

Pan Skrzetuski, który w czasie opowieści Zagłoby smętnie po komnacie spoglądał, teraz wezwany, upił ze szklenicy tęgiego łyka i zagaikł:

- Wracalem ja od Krakowa i przez Rzeszów przejeżdżać mi przyszło. Akurat byłem przy kościele i klasztorze bernardynów, który pan Mikołaj Spytek Ligęza fundował - i myślę - zajrzę tam, bo słyszałem wcześniej o tej świątyni i o cudownej statule snycerską robotą w lipie rzezanej, Matki Boskiej, tam się znajdującej i pomodłę się...

- Znałem pana Ligęzę w mych młodych latach - ozwał się pan Zagłoba - krewki to był zagończyk i siła tatarskiej barbarii usiekł, ponoć do stu lat dczył, ale i bisurmany sporo mu włości spustoszyli..

Zamilkł pan Zagłoba, a pan Skrzetuski prawił dalej:

- Wszedłem do kościoła i idę w stronę ołtarza, a po prawej stronie kaplica. W niej to jest cudowna statua. Zwróciłem się ku niej i uklękłem. Mroczno było w kaplicy, ale z boku zauważyłem klęczącą postać mnicha. Mnich zwrócił się w moją stronę, a ja wykrzyknąłem zdumiony: - Pan Michał!!

Padliśmy sobie w objęcia. O nic go nie pytałem, bo znałem ostatnie jego dzieje. Tylko te słowa mi się wyrwały: - Nie żałujesz minionego życia? A on odparł - Nie, nic to!

I takeśmy się rozstali.

- Już raz go od mnichów wydobyłem - odezwał się pan Zagłoba - ale teraz już nie myślę tego czynić. Lat mam ponad dziwiędziesiąt i siły już nie te co wówczas. I cóż bym ja mu teraz w Rzeszowie powiedział? Jakiegoż fortelu przyszłoby mi użyć? Słów brak...

Nad pana Kmicicowym dworem noc już zapanowała zupełnie. Na niebie świeciły konstelacje gwiazd. Psy nawoływały się swoim odwiecznym zwyczajem. Dwór stał ciemny i jeno w komnacie gościnnej żółciły się okna od światła świec.

Znad pól unosiły się cienkie pasemka mgły. Ziemia parowała teraz od nadmiaru wody z przeszłej ulewy. Pasemka mgły stawały się coraz liczniejsze, przemieszczały się, mieszały ze sobą i na tle boru tworzyły jakby jakowąś postać, to pochylającą się, to wznoszącą, rozpościerającą nad ziemią ramiona. Postać ta zdawała się mówić:

- Jestem mgła i pokrywam wszystko, otulam wszystko. Nikt i nic przede mną nie ucieknie... Ani źdźbło trawy, ani zwierz, ani kamień, drzewo czy człowiek. Jeśli zechcę, to nawet w dzień zakryję niebo. Jestem nad wszystkimi waszymi ludzkimi sprawami, nad radościami i smutkami, nad cnotą i podłością, nad wielkością i zdradą, nad żywymi i umarłymi. Wieczna jestem..., jam wieczna..., wieczna...

POŚWIATA